



TREVANIAN

# Shibumi



# Waszyngton

Na ekranie rozbłysły cyfry: 9, 8, 7, 6, 5, 4, 3... po czym wyłączono projektor i zapaliły się światła w kinkietach rozmieszczonych wzdłuż ścian prywatnej sali kinowej.

Głos operatora w wewnętrznym telefonie brzmiał wysoko, metalicznie:

— Jesteśmy gotowi i czekamy na sygnał, panie Starr.

Jedyny widz, T. Darryl Starr, nacisnął guzik mikrofonu na konsoli komunikacyjnej.

— Hej, kolego. Powiedz no mi: po co właściwie są te numery przed filmem?

— To jest nasza czołówka, proszę pana — powiedział operator. — Wmontowałem to do filmu tylko tak, dla żartu.

— Dla żartu?

— Tak, proszę pana. To znaczy... zważywszy na rodzaj filmu... wydawało mi się, że będzie śmiesznie. Nie sądzi pan?

— Śmiesznie? Dlaczego?

— No bo myślałem... przy tym całym narzekaniu na nadmiar brutalności w filmach i tak dalej...

T. Darryl Starr odchrząknął, potarł nos wierzchem dłoni i zsunął na oczy lotnicze okulary przeciwsłoneczne, które wcześniej, gdy zgasły światła, podciągnął w górę, na krótko przycięte włosy.

Żart? Lepiej bez żartów, do cholery, pomyślał. Jasne, że

gdyby coś poszło nie tak, wezmą mnie za dupę. A jeśli choćby najmniejszy szczegół nie będzie w porządku, to można się założyć, że Diamond i jego ludzie to wysledzą. Zastrani pedanci! Odkąd zaczęli kontrolować operacje CIA na Bliskim Wschodzie, wytykają nawet najmniejsze potknięcia; próbują upiec swoją pieczeń dzięki takim duperelom.

Starr, odgryzłszy koniec cygara, wypluł go na pokrytą dywanem podłogę, po czym zwilżył cygaro, przesuając je tam i z powrotem między wysuniętymi w ryjek wargami, wreszcie zapalił, używając zwykłej zapalniczki. Jako starszy agent terenowy miał dostęp do kubańskich cygar. W końcu coś mu się należało.

Zsunął się niżej w fotelu i wyciągnął nogi ponad oparciem siedzenia z przodu, tak jak zwykł robić, kiedy jako chłopiec oglądał filmy w kinie Samotna Gwiazda. A jeśli chłopak z przedniego rzędu miał zastrzeżenia, Starr proponował, że wkopie mu tyłek między łopatki. Każdy się wtedy wycofywał, bo wszyscy we Flat Rock wiedzieli, że T. Darryl Starr to twardziel i może każdego dzieciaka poczęstować zamraczającą pigułą w brzuch.

Było to wiele lat i wiele ciosów temu, ale Starr pozostał twardzielem. Właśnie tego potrzeba, żeby zostać starszym agentem terenowym CIA. Tego i doświadczenia. I nielicznego sprytu.

Aha, no i patriotyzmu, oczywiście.

Spojrzał na zegarek: za dwie minuty czwarta. Diamond zażądał projekcji o czwartej i przybędzie o czwartej — punktualnie. Gdyby Diamond wszedł do sali kinowej, a zegarek nie wskazywał dokładnie czwartej, Starr musiałby przyjąć, że jego czasomierz wymaga naprawy.

Nacisnął znów guzik mikrofonu.

— Jak ten film wygląda?

— Nawet nieźle, zważywszy na to, w jakich warunkach go kręciliśmy — odpowiedział operator. — Oświetlenie na Rome International jest zdradliwe... mieszanina naturalnego

światła i fluorescencyjnych lamp z góry. Musiałem użyć kombinowanych filtrów CC, co spowodowało poważne problemy z ostrością. A jakość koloru...

— Nie mam ochoty słuchać o twoich pieprzonych problemach!

— Przepraszam. Ja tylko odpowiadałem na pana pytanie.

— Więc nie odpowiadaj!

— Słucham...?

Drzwi w tylnej części prywatnej sali kinowej otworzyły się ze stuknięciem. Starr rzucił okiem na zegarek — wskazówka sekundowa była o pięć sekund za czwartą. Trzej mężczyźni przeszli szybkim krokiem między rzędami. Na czele szedł Diamond, dobrze umięśniony osobnik pod pięćdziesiątkę, o szybkich i zwinnych ruchach, którego nieskazitelnie skrojony garnitur zdawał się odzwierciedlać schludnie uporządkowany umysł. Tuż za nim kroczył jego pierwszy asystent, wysoki, trochę rozlazły, o nieco akademickim wyglądzie. Diamond nigdy nie marnował czasu, normalną dla niego praktyką było dyktowanie notatek nawet po drodze na spotkania. Toteż pierwszy asystent nosił u biodra magnetofon, którego miniaturowy mikrofon był przymocowany do jego okularów o metalowych oprawkach. Zawsze też szedł tuż obok Diamonda albo siadał przy nim, nachylając głowę, by uchwycić potok urywanych, monotonnych poleceń.

Zważywszy na heraldyczną sztywność charakterystyczną dla CIA, trudno się było dziwić, że specyficzne poczucie humoru agentów sugerowało homoseksualny związek między Diamondem a jego zawsze czuwającym w pobliżu asystentem. Większość dowcipów osnuta była jednak wokół rozważań, co stanie się z nosem asystenta, jeśli Diamond kiedyś nagle się zatrzyma.

Trzeci mężczyzna włókł się z tyłu, nieco oszołomiony żywym tempem rozgrywających się wokół niego działań i szybkością wymiany myśli; był Arabem w ciemnym, drogim i źle leżącym europejskim ubraniu. Nie krawca należało winić

za jego łachmaniarski wygląd — ciało Araba najwyraźniej nie było stworzone dla odzieży wymagającej odpowiedniej postury i schludności.

Diamond wsunął się na fotel od strony przejścia, na przeciwnym krańcu rzędu, w którym siedział Starr, asystent usiadł tuż przed nim, a Palestyńczyk, zawiedziony w swych nadziejach, że ktoś powie mu, gdzie usiąść, w końcu powlókł się na miejsce w tylnych rzędach.

Odwracając głowę tak, aby miniaturowy mikrofon mógł zarejestrować koniec szybkiego, monotonnego dyktanda, Diamond wydał ostateczne polecenia w kwestiach, którymi się dotąd zajmował:

— W ciągu najbliższych trzech godzin przedstaw mi następujące sprawy: po pierwsze, wypadek z urządzeniami wiertniczymi na Morzu Północnym i sposób wyciszenia środków przekazu; po drugie, ten profesorek, który bada szkody ekologiczne wzdłuż rurociągu na Alasce... jakaś likwidacja upozorowana na wypadek...

Z obydwoma tymi zadaniami Diamond w zasadzie się już uporał, toteż z góry cieszył się, że podczas weekendu trochę pogra w tenisa. O ile oczywiście ci durnie z CIA nie sknocili akcji na lotnisku w Rzymie. Miała to być najprostsza w świecie akcja zapobiegawcza i nie powinna przedstawiać żadnych trudności, ale w ciągu sześciu miesięcy, odkąd to Firma Matka wyznaczyła go do kontrolowania działalności CIA na Bliskim Wschodzie, przekonał się, że nie ma akcji tak prostych, aby wykluczały możliwość popełnienia przez CIA pomyłki.

Diamond rozumiał, dlaczego Firma Matka zdecydowała się pozostać w cieniu, działając pod przykrywką CIA i NSA\*, ale bynajmniej nie ułatwiało to jego zadania. Nie wydała mu się też wcale zabawna pogodna sugestia prezesa, według którego Firma Matka, posługując się agentami CIA, płaciła

---

\* NSA — National Security Agency — Agencja Bezpieczeństwa Narodowego.

haracz na rzecz akcji zatrudniania niepełnosprawnych umysłowo.

Diamond nie czytał jeszcze raportu Starra z akcji, wyciągnął więc rękę do tyłu. Pierwszy asystent, przewidziawszy ten gest, trzymał raport przygotowany.

Rzuciwszy okiem na pierwszą stronę, Diamond odezwał się, nie podnosząc głosu:

— Odłóż cygaro, Starr. — Uniósł dłoń w nieznacznym geście i światła na ścianach sali zaczęły przygasać.

Darryl Starr przesunął do góry, ku włosom, okulary przeciwsłoneczne, sala kinowa ściemniała, a promień projektora przeciął zawieszony w powietrzu pasma niebieskiego dymu. Na ekranie rozkołysana kamera ukazała ogólny plan wielkiego, ruchliwego lotniska.

— Oto Rome International — mówił przeciągle Starr. — Godzina trzynasta trzydzieści cztery czasu Greenwich. Lot numer czterysta czternaście z Tel Awiwu-Jafy, samolot właśnie wylądował. Trochę potrwa, zanim wszystko się zacznie. Ci włoscy celnicy to nie są błyskawice.

— Starr? — odezwał się Diamond zmęczonym głosem.

— Słucham?

— Dlaczego nie odłożyłeś cygara?

— Szczerze mówiąc, Bóg mi świadkiem, nie słyszałem, żeby mnie pan o to prosił.

— Bo nie prosiłem.

Zakłopotany faktem, że upomniano go w obecności cudzoziemca, Starr zdjął nogi z przedniego fotela i rozgniół dopiero co zapalone cygaro na dywanie. Aby zachować twarz, mówił dalej, jak gdyby nic się nie stało:

— Spodziewam się, że naszemu arabskiemu przyjacielowi spodoba się sposób załatwienia tej sprawy. Poszło gładko jak kocie łajno po linoleum.

*Plan ogólny: komora celna i wejście dla imigrantów. Kolejka pasażerów czeka na załatwienie formalności, okazując różne stopnie zniecierpliwienia. Wobec urzędniczej niekompetencji i*

obojętności uśmiech i przyjacielską minę zachowują tylko ci pasażerowie, którzy spodziewają się kłopotów z paszportem i bagażem. Starszy mężczyzna ze śnieżnobiałą kozią bródką pochyla się nad kontuarem, wyjaśniając coś po raz trzeci celnikowi. Za nim w kolejce stoją dwaj młodzi mężczyźni po dwudziestce, mocno opaleni, w szortach khaki i koszulach rozpiętych pod szyją. Kiedy przesuwa się do przodu, popychając nogą plecaki, kamera najeżdża i wyodrębnia ich w półzblizeniu.

— Oto nasze cele — wyjaśnił zupełnie niepotrzebnie Starr.

— Otóż to! — powiedział Arab łamiącym się falsetem. — Poznaję jednego z nich, jest znany w ich organizacji jako Avrim.

Z komicznie przesadnym szarmanckim ukłonem pierwszy młody mężczyzna proponuje ładnej rudej dziewczynie, aby podeszła przed nim do kontuaru. Dziewczyna uśmiecha się z wdzięcznością, ale kręci głową. Włoski urzędnik w przyciasnej czapce z daszkiem bierze znudzonym gestem paszport pierwszego młodzieńca, otwiera go jednym ruchem, ale jego spojrzenie co chwila unyka ku piersiom dziewczyny, najwyraźniej niczym nieskrępowanym pod dżinsową koszulką. Celnik przenosi wzrok z fotografii w paszporcie na twarz młodego człowieka i z powrotem. Marszczy brwi.

Starr wyjaśnia:

— Zdjęcie w paszporcie zrobiono, zanim zapuścił tę głupkowatą brodę.

Urzędnik imigracyjny wrusza ramionami i stempluje paszport. Drugi młody człowiek zostaje potraktowany z tą samą mieszaniną nieufności i niekompetencji. Stempel w jego paszporcie jest przybijany dwukrotnie, bo włoski urzędnik tak się zapatrzył na biust dziewczyny, że zapomniał za pierwszym razem użyć poduszki z tuszem. Młodzi ludzie podnoszą plecaki i przerzucają je przez jedno ramię. Mamrocząc przeprosiny i wykręcając się bokiem, przeslizgują się przez kłębówisko podnieconych Włochów, wielkiej rodziny przepychającej się i stojącej na palcach, żeby powitać przybyłego krewnego.

— Dobra! Zwolnić teraz! — polecił Starr przez mikrofon.

— Zaraz się zacznie.

Projektor zwolnił do jednej czwartej szybkości.

Od jednej do drugiej migocącej ramki młodzi mężczyźni poruszają się tak, jak gdyby powietrze było żelatyną. Przywódca odwraca się, by postać uśmiech do kogoś w kolejce: jego ruchy przywodzą na myśl balet w księżycowej grawitacji. Drugi spogląda ponad tłumem. Powoli nonszalancki uśmiech przeradza się w grymas. Otwiera usta i krzyczy bezgłośnie, podczas gdy przód jego koszuli khaki rozrywa się i bluzga krwią. Zanim upadnie na kolana, druga kula odrywa mu policzek. Kamera faluje wokół niepewnie, zanim zlokalizuje drugiego młodego człowieka, który porzucił plecak i biegnie — koszmarnie wolno — w kierunku schowków na bagaże. Robi piruet w powietrzu, kiedy kula trafia go w ramię. Z wdziękiem wpada na schowki i odbija się od nich. Jego biodro rozkwita szkarłatem i młody człowiek osuwa się bokiem na wypolerowaną granitową posadzkę. Trzecia kula odstrzeliwuje mu tył głowy.

Kamera prześlizguje się po terminalu, szuka, traci z oczu i znów znajduje dwóch mężczyzn — zamazane sylwetki biegnących do szklanych drzwi głównego wejścia. Ostrość się poprawia i okazuje się, że to Azjaci. Jeden z nich ma pistolet automatyczny. Nagle wygina się w łuk, wyrzuca ręce przed siebie i ślizga się na czubkach palców do przodu na sekundę przed upadkiem na twarz. Pistolet spada bezdźwięcznie obok. Drugi dociera właśnie do szklanych drzwi i niewyraźne światło obrysowuje aureolą ciemną sylwetkę. Schyla się, kiedy kula roztrzaskuje szkło nad jego głową. Zmienia kierunek i pędzi do otwartej windy, z której wylewa się grupa dzieci w wieku szkolnym. Mała dziewczynka osuwa się na ziemię, jej włosy rozwiewają się, jak gdyby była pod wodą. Zbłąkana kula trafiła ją w brzuch. Następna uderza Azjatę między łopatki i popycha go miękko na ścianę koło windy. Z grymasem bólu mężczyzna wykręca ramię do tyłu, jakby próbował wyjąć kulę. Kolejny pocisk przebija jego dłoń i trafia w kręgosłup. Osuwa się po ścianie i pada, z głową w drzwiach windy. Winda zamyka się i zaraz otwiera, kiedy krawędzie drzwi natrafiają na



głowę. Znow się zamyka i otwiera. Zamyka się. Otwiera.

Powolny odjazd kamery nad terminalem. Ujęcie z góry.

Gromadka zszokowanych i oszołomionych dzieci, skupionych wokół leżącej dziewczynki. Jeden z chłopców bezgłośnie krzyczy.

Dwaj strażnicy z lotniska biegną z uniesionymi małymi włoskimi pistoletami automatycznymi ku leżącemu Azjatowi. Jeden z nich wciąż jeszcze strzela...

Stary mężczyzna z białą kozią bródką siedzi oszołomiony w kałuży własnej krwi, z nogami prosto wyciągniętymi przed siebie, jak dziecko bawiące się w piaskownicy. Jego twarz wyraża wyłącznie niedowierzanie. Przecież był pewien, że wszystko wytłumaczył celnikowi...

Jeden z młodych chłopców izraelskich leży twarzą z oderwanym policzkiem do ziemi, z plecakiem chyba wciąż jeszcze zaczepionym na ramieniu...

Menuet *largo* artystycznie zaaranżowanego zamieszania w stadku Włochów, którzy oczekiwali krewnego. Troje z nich leży na ziemi. Inni lamentują albo klęczą, a kilkunastoletni chłopiec kręci się w kółko na pięcie, rozglądając się, dokąd biec po pomoc — albo uciekać...

Rudowłosa dziewczyna, zastygła w miejscu, okrągłymi z przerażenia oczyma patrzy na leżącego chłopca, który jeszcze przed paroma sekundami proponował jej, by przeszła pierwsza...

Kamera zatrzymuje się w końcu na młodym mężczyźnie bez tylnej części głowy rozciągniętym koło schowków na bagaż...

— No i... no i... no i to wszystko, chłopaki — powiedział Starr.

Promień projektora błysnął i zgasł, a lampy na ścianach znów się rozjarzyły.

Starr obrócił się na krześle w oczekiwaniu pytań od Diamonda albo Araba.

— A więc?

Diamond z raportem na kolanach wciąż jeszcze patrzył na biały ekran, przyłożywszy trzy palce do warg. Przesunął palce wolno w stronę podbródka.

— Ilu? — zapytał spokojnie.

— Słucham?

— Ilu zginęło w tej akcji?

— Wiem, co pan ma na myśli. Robota okazała się trochę bardziej... mokra, niż się spodziewaliśmy. Urządziliśmy wszystko tak, żeby włoska policja trzymała się z daleka, ale poplątali instrukcje, to zresztą nic nowego. Ja sam miałem trochę kłopotów. Musiałem użyć beretty, żeby naboje można było uznać za włoskie, a jako pistolet automatyczny beretta jest tyle warta, co bździna w huraganie, jak mawiał mój staruszek. Gdybym miał smith and wessona, mógłbym położyć Japońców dwoma strzałami i nie trafiłbym tej biednej małej, która weszła mi w linię ognia. Oczywiście nasi japońscy chłopcy mieli powiedziane, żeby zrobić na początku akcji trochę bałaganu... to miało wyglądać jak jakiś numer Czarnego Września. Ale kule wystrzelwane przez te spanikowane włoskie gliny zaczęły fruwać na wszystkie strony, jak krowie siki rozpryskujące się na płaskim kamieniu...

— Starr! — W głosie Diamonda było samo obrzydzenie.

— O co ja cię pytałem?

— Pytał pan, ilu zginęło. — Ton Starra nagle stał się szorstki; odrzucił maskę pocziwego kumpla, za którą zazwyczaj się ukrywał, udając sentymentalnego idiotę, żeby osłabić czujność przeciwnika. — W sumie dziewięciu zabitych. — Nagły grymas, i oto znów powrócił do swojskiego, nosowego akcentu. — Policzmy. Dwa żydowskie cele, oczywiście. Potem dwaj nasi agenci, których musiałem zlikwidować. I ta biedna dziewczynka, trafiona przeze mnie. Stary facet, którego dosięgła zbłąkana kula. I troje miejscowych, którzy pętali się w pobliżu, kiedy ten drugi Żyd obok nich przebiegał. Pętanie się jest niebezpieczne. Powinno być zakazane prawem.

— Dziewięcioro? Aby dostać dwóch?

— No, wie pan, trzeba pamiętać, że mieliśmy instrukcje, żeby przeprowadzić to na miarę Czarnego Września. A tamci

chłopcy lubią okazać trochę ekstrawagancji. To w ich stylu: rozbijać jajka młotem kowalskim... Chyba nie uraziłem obecnego tu pana Hamana?

Diamond podniósł wzrok znad raportu, który właśnie studiował w przyspieszonym tempie. Haman? Zaraz przypomniał sobie, że arabski obserwator, który siedział za nim, otrzymał od obdarzonych fantazją urzędników CIA pseudonim Haman.

— Nie czuję się urażony, panie Starr — powiedział Arab. — Jesteśmy tu po to, żeby się uczyć. Właśnie dlatego niektórzy z naszych praktykantów pracują z waszymi ludźmi w Akademii w Riding, w ramach stypendium Title Seventeen, ufundowanego dla wymiany kulturalnej. Jestem mile zaskoczony, że pan, z pańską pozycją, znalazł czas, żeby osobiście zająć się tą sprawą.

Starr machnął ręką z wyrazem zadowolonej z siebie skromności.

— Nie ma o czym mówić. Jeśli chcesz mieć robotę dobrze wykonaną, powierz ją człowiekowi zapracowanemu.

— Czy to jest znowu jakaś mądrość twojego staruszka? — zapytał Diamond, nie unosząc oczu znad raportu; pochłaniał całe strony, wytrenowany w szybkim czytaniu.

— No cóż, skoro już pan o tym wspomniał...

— To był prawdziwy ludowy filozof.

— Wspominam go raczej jako starego skurwysyna. Ale potrafił powiedzieć coś mądrego.

Diamond westchnął przez nos i skoncentrował się znów na treści raportu. W ciągu kilku miesięcy, odkąd Firma Matka wyznaczyła go do kontrolowania związanej z biznesem naftowym działalności CIA, przekonał się, że — mimo ich urzędowej indolencji — ludzie tacy jak Starr nie są głupcami. Prawdę mówiąc, byli nawet zaskakująco inteligentni, jeśli wziąć pod uwagę zdolność do mechanicznego rozwiązywania problemów. Ani nieporadna gramatyka, ani wulgarne skatologiczne ubóstwo języka nigdy nie gościły w pisemnych

raportach Starra dotyczących zlecanej mu „mokrej roboty”. Zamiast tego znajdowało się w nich zwięzła, suchą prozę, obliczoną na opancerzenie imaginacji.

Przeglądając wydruk biografii Starra, Diamond stwierdził, że był on kimś w rodzaju bohatera dla młodszych agentów CIA — ostatni ze starej generacji, jeszcze z ery przedkomputerowej, z czasów kiedy operacje Firmy częściej łączyły się z wymianą strzałów nad murem berlińskim niż z wpływaniem na głosy kongresmanów poprzez gromadzenie świadectw ich fiskalnych i seksualnych ekscesów.

T. Darryl Starr był w gruncie rzeczy człowiekiem tego samego pokroju co jego były kolega po fachu, który porzucił firmę, by pisać mętne szpiegowskie powieści i babrać się w trzęsawisku politycznych machinacji... Kiedy jego rażąca nieporadność w tej dziedzinie sprawiła, że został w końcu przyłapany, uparcie zachowywał wyniosłe milczenie, podczas kiedy kohorty związanych z tym ludzi wyśpiewywały wielkim chórem *mea culpa* i dobrze zarabiała na publikacjach. Po tym, jak odsiedział krótki wyrok w federalnym więzieniu, próbował nobilitować swoje tchórzliwe milczenie, podpierając się niepisany kodeks, który głosi: Nie będziesz sypał — chyba że na papierze. Opinia publiczna wydała pomruk niezadowolenia, ale Starr i tak podziwiał tego durnia i partacza. Obaj byli przykładem tej samej mieszaniny harcerzyka i brutala, jaka charakteryzuje znakomitą większość weteranów CIA.

Diamond podniósł wzrok znad raportu.

— Z tego tutaj wynika, że wziął pan udział w akcji zapobiegawczej jako obserwator, panie... Haman.

— Tak. Właśnie tak było. Jako praktykant obserwator.

— Dlaczego więc chciał pan zobaczyć ten film przed wysłaniem raportu do swoich przełożonych?

— Ach... no tak... Jeśli mam być zupełnie szczerzy...

— Nie mógłby składać raportu jako naoczny świadek — wyjaśnił Starr. — Był z nami na górze, na galerii, kiedy to

wszystko się zaczęło, ale już dziesięć sekund później nie mogliśmy go nigdzie znaleźć. Człowiek, którego zostawiliśmy, żeby uprzątnął cały ten bałagan, w końcu odnalazł go w publicznej toalecie.

Arab zaśmiał się krótko, zmieszany.

— To prawda. Zew natury bywa tyleż niewczesny, co empiryczny.

Pierwszy asystent zmarszczył brwi i zamrugał. Empiryczny? Czy miało to znaczyć „imperatywny”? Nakazujący?

— Rozumiem — powiedział Diamond i powrócił do przeglądania siedemdziesięciopięciostronicowego raportu.

Arab, który poczuł się nieswojo w ogólnej ciszy, pośpiesznie zabrał głos:

— Nie chciałbym być inkwizytorem, panie Starr, ale jest coś, czego nie rozumiem.

— Strzelaj, kolego.

— Dlaczego właściwie użyliśmy do akcji Azjatów?

— Co...? Ach, jak pan pamięta, zgodziliśmy się co do tego, że ma to wyglądać na waszą robotę. Nie mieliśmy pod ręką Arabów, a chłopcy, których szkolimy w Akademii, nie nadają się do takich numerów. — Starr uznał, że nietaktem byłoby dodać, iż z ich genetycznie uwarunkowaną nieudolnością prawdopodobnie nigdy nie będą się nadawać. — Wśród chłopców biorących udział w operacjach Czarnego Września zdarzali się członkowie Japońskiej Armii Czerwonej. Japończykami dysponowaliśmy...

Arab zmarszczył brwi zdezorientowany.

— Mówi pan, że Japończycy to byli wasi ludzie?

— Właśnie. Dwóch Japońców z agencji na Hawajach. Fajni faceci. Szkoda, że musieliśmy ich stracić, ale ta śmierć przydaje tego, co pan nazywa „rysem prawdopodobieństwa”, pańskiej skądinąd suchej i nieprzekonującej relacji. Kule, które z nich wydobędą, pochodzą z beretty, toteż lokalna policja zgarnie zasługi za tę akcję. Mieli przy sobie papiery identyfikujące ich jako członków Japońskiej Armii Czerwonej, którzy

wspomagają arabskich braci w tym, co wy nazywacie niekończącą się walką z kapitalistycznymi krwiopicjami.

— Wasi własni ludzie? — powtórzył Arab w osłupieniu.

— Niech pan się nie martwi. Ich dokumenty, ich ubrania, nawet jedzenie, które znajdują w ich żołądkach... wszystko będzie wskazywać na to, że przybyli z Japonii. Prawdę mówiąc, przylecieli z Tokio parę godzin przed atakiem... albo skokiem, jak my to czasem nazywamy.

W oczach Araba jaśniał podziw. To był właśnie taki rodzaj organizacji, o jaki mu chodziło i jaki na polecenie wuja prezydenta miał bacznie obserwować w Stanach — aby w efekcie stworzyć podobną i skończyć z zależnością od nowych sprzymierzeńców.

— Ale wasi japońscy agenci chyba nie wiedzieli, że mają być... jak wy to nazywacie?

— Maksymalnie zdegradowani? Nie, nie wiedzieli. Mamy w Firmie zasadę: uczestnicy akcji nie powinni wiedzieć więcej, niż potrzeba, żeby ją przeprowadzić. To były fajne chłopaki, ale mimo wszystko, gdyby zdawali sobie sprawę, że idą na łono Abrahama, pewnie straciliby trochę entuzjazmu, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

Diamond czytał dalej, a jego wzrok znacznie wyprzedzał dokonujące się w umyśle operacje przetwarzania i analizy wcześniej tam wprowadzonych informacji — można by było określić ten proces jako coś w rodzaju intelektualnego oglądu całości. Jeżeli jakaś część raportu nie pasowała do całości albo brzmiała fałszywie, Diamond cofał się, żeby ponownie przejrzeć taki „zgrzytający” fragment.

Był już na ostatniej stronie, kiedy odezwał się jego wewnętrzny dzwonek alarmowy. Przerwał czytanie, powrócił do poprzedniej strony i przestudiował ją starannie. Mięśnie jego szczęki drgnęły. Podniósł wzrok i dał charakterystyczny dla siebie bezgłośny znak — na chwilę wstrzymał oddech.

Pierwszy asystent zamrugał oczyma. Wiedział, co oznacza ten sygnał. Zapowiadał kłopoty.

Diamond odetchnął głęboko i podał raport przez ramię do tyłu. Ponieważ nie orientował się, jak poważny mają problem, nie zamierzał budzić czujności arabskiego obserwatora. Doświadczenie mówiło mu, że dostarczanie Arabom nadmiernej ilości informacji jest nieroztropne i rozrzutne. Nie było to bowiem brzemię, jakie potrafiliby dźwigać z wdziękiem.

— A zatem — zapytał, zwracając głowę nieco ku tyłowi — czy jest pan zadowolony, panie Haman?

Arab przez moment jakby nie rozpoznawał swego pseudonimu, potem nagle się ocknął i zachichotał.

— Och, tak. Powiedzmy, że materiał filmowy zrobił na mnie duże wrażenie.

— Czy to znaczy, że jest pan pod wrażeniem filmu, ale nie jest pan zadowolony?

Arab, z nieszczerym uśmiechem handlarza dywanów, schował szyję w ramionach, przechylił głowę i uniósł dłoń.

— Drodzy przyjaciele, to nie ja mam być zadowolony albo niezadowolony. Rozczarowany? Jestem tylko posłańcem, skrzynką kontaktową, kimś, kogo moglibyście nazwać...

— Sługą? — podsunął Diamond.

— Być może. Nie znam tego słowa. Jakiś czas temu nasi agenci dowiedzieli się o planie zamordowania ostatnich dwóch żyjących bohaterów Aktu Zemsty z olimpiady w Monachium. Mój wuj wyraził życzenie, aby udaremnić tę... zmwę... czy to będzie właściwe słowo?

— To jest dobre słowo — przyznał Diamond, z nutą znudzenia w głosie. Stracił już cierpliwość do tego durnia, który przypominał mu raczej coś w rodzaju trywialnego żartu etnicznego niż ludzką istotę.

— Jak pan pamięta, udaremnienie tej podłej zmwowy było warunkiem dalszego utrzymywania przyjaznych stosunków z Firmą Matką w sprawach dotyczących interesów naftowych. Firma w swej mądrości zdecydowała, że powierzy sprawę CIA, choć pod pańskim bezpośrednim nadzorem, panie

Diamond. Nie chciałbym urazić mego dzielnego przyjaciela, pana Starra, ale trzeba powiedzieć, że odkąd pewne partackie poczynania ludzi szkolonych przez CIA doprowadziły do upadku prezydenta, człowieka niesłychanie przyjaznego i chętnego do współpracy, nasze zaufanie do tej organizacji przestało być bezgraniczne.

Arab przechylił głowę na bok i uśmiechnął się przepaszająco do Starra, który z najwyższym zainteresowaniem oglądał paznokcie. Haman mówił dalej:

— Nasz wywiad zdołał przekazać CIA nazwiska dwóch syjonistycznych gangsterów, wyznaczonych do przeprowadzenia tego bandyckiego ataku, oraz przybliżoną datę ich odlotu z Tel Awiwu-Jafy. Do tego pan Starr niewątpliwie dodał to, co uzyskał z własnych źródeł informacji, i postanowił zapobiec tragedii za pomocą tak zwanej akcji zapobiegawczej, organizując wszystko tak, żeby przestępcy zostali straceni przed popełnieniem zbrodni. Można by to nazwać najbardziej oszczędną procedurą sądową. Przed chwilą pokazaliście mi, panowie, materiały audiowizualne dowodzące, że akcja się udała. Przekażę tę wiadomość moim przełożonym. To oni mają być zadowoleni albo niezadowoleni, nie ja.

Diamond, którego umysł błędził po zupełnie innych obszarach podczas większej części śpiewnego monologu Araba, teraz wstał z miejsca.

— A więc dobrze. — I nie mówiąc już ani słowa, odszedł przejściem między rzędami, a tuż za nim podreptał pierwszy asystent.

Starr założył nogi na oparcie fotela w następnym rzędzie i wyjął cygaro.

— Chce pan to zobaczyć jeszcze raz? — zapytał Araba przez ramię.

— Z przyjemnością.

Starr nacisnął guzik mikrofonu na konsoli.

— Hej, kolego! Daj to jeszcze raz. — Światła przygasły, a



on podsunął okulary przeciwsłoneczne w górę, na krótko przystrzyżone włosy. — Powtórka. I to w najlepszym czasie telewizyjnym. — Ostatnie dwa słowa wymamrotał niemal zupełnie niezrozumiale.



Diamond szedł szybko wzdłuż białego korytarza Centrum. Furia, która go ogarnęła, przejawiała się tylko w ostrym rytmie, w jakim jego skórzane obcasy stukwały po kafelkach. Już dawno wyćwiczył w sobie umiejętność ograniczania do minimum wyrażanych emocji, ale lekkie napięcie mięśni wokół ust i wzrok częściowo zagubiony w przestrzeni były dla jego asystenta wystarczającym ostrzeżeniem przed wzbierającą falą gniewu.

Weszli do windy. Pierwszy asystent włożył kartę magnetyczną do szpary, zastępującej guzik piętra. Winda opadła gwałtownie z głównego holu do podziemnych apartamentów zakodowanych jako Szesnaste Piętro.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Diamond na rzecz Firmy Matki po objęciu kontrolą działalności CIA, było utworzenie dla siebie własnej strefy roboczej głęboko w labiryntach Centrum. Nikt z personelu CIA nie miał dostępu do Szesnastego Piętra. Gabinet otaczała ołowiana osłona, z systemem alarmów antypodsłuchowych, które miały utrzymywać tę organizację w jej tradycyjnym stanie ignorancji. Aby uniknąć ingerencji innych agencji rządowych, biuro Diamonda wyposażono w bezpośrednie łącze komputerowe z Firmą Matką; tworzące je kable były niewrażliwe na metodę podsłuchową „linii równoległych”, czyli przypadkowego przejęcia różnicy potencjałów, stosowaną przez NSA do kontrolowania połączeń telefonicznych i telegraficznych w USA.

Pozostając w stałym kontakcie z ośrodkami badawczymi i informacyjnymi Firmy Matki, Diamond potrzebował jedynie dwuosobowego personelu. Tworzyli go: pierwszy asystent, prawdziwy artysta w dziedzinie badań komputerowych, i

sekretarka, panna Swivven.

Weszli do rozległej, otwartej pracowni, o ścianach i dywanach utrzymanych w tonie matowej bieli. Pośrodku przewidziano miejsce dla odbywania narad; stało tam pięć wyściełanych foteli i stół, którego grawerowany szklany blat służył jako ekran, gdzie pojawiały się w razie potrzeby obrazy telewizyjne przesyłane przez komputery.

Z pięciu foteli tylko jeden był obrotowy: Diamonda. Inne przymocowano na stałe do podłogi; miały zapewniać zaledwie minimum wygody. Toczo tu zwykle krótkie, żywe dyskusje, unikając pogawędek i towarzyskiej szermierki słownej.

W jedną ze ścian wbudowano konsolę łączącą lokalny komputer z głównym systemem komputerowym Firmy Matki, zwanym Tłusciochem. Były w niej także łącza telewizyjne, dalekopisowe i telefaksowe służące do przekazywania danych werbalnych i wizualnych, a także lokalne banki pamięci do krótkoterminowego przechowywania informacji. Pierwszy asystent zajmował zawsze miejsce przed konsolą i grywał na tymże instrumencie z wyjątkowym abstrakcyjnym artyzmem i z wielką czułością.

Osobiste biurko Diamonda, umieszczone na podium, wręcz ostentacyjnie skromne, miało biały plastikowy blat, o wymiarach pięćdziesiąt na sześćdziesiąt pięć centymetrów. Nie było w nim szuflad ani półek, gdzie można by zgubić albo przeoczyć dostarczony materiał, co nie pozwalało na opóźnienie jakiegokolwiek sprawy przez odłożenie jej na bok pod pretekstem zajęcia się inną. Przeciwdziałał temu także precyzyjnie opracowany i skrupulatnie stosowany system wyłuskiwania tylko takich spraw, w których zbadano wszelkie przesłanki niezbędne do podjęcia decyzji. Diamond podejmował ją zresztą niezwykle szybko, żywił bowiem pogardę zarówno dla fizycznego, jak i psychicznego rozchwiania.

Przeszedł teraz przez salę do swego fotela (skonstruowanego przez specjalistę ortopedę tak, aby

przeciwdziałał zmęczeniu, lecz nie zapewniał narkotyzującej wygody) i usiadł, zwrócony tyłem do wielkiego okna — wypełniającego przestrzeń od sufitu do podłogi — za którym można było zobaczyć dobrze utrzymany skrawek parku, a nieco dalej — postument pomnika Waszyngtona. Siedział przez chwilę z końcami palców złożonymi w geście niemal modlitewnym, dotykając lekko wargami kciuków. Pierwszy asystent automatycznie zajął miejsce przed konsolą i czekał na instrukcje.

Postawiona w stan pogotowia w momencie ich wejścia panna Swivven przeszła z sekretariatu do strefy roboczej i usiadła z przygotowanym notesem na krześle tuż poniżej podium Diamonda. Była kobietą przed trzydziestką, o bujnym ciele i gęstych włosach, umiejętnie upiętych w kok. W jej powierzchowności najbardziej uderzała niezwykła jasność skóry, pod którą żyłki rysowały ledwie widoczne niebieskawe linie.

Nie unosząc powiek, Diamond odsunął ręce od ust, a końce palców zwrócił ku pierwszemu asystentowi.

— Ci dwaj Żydzi. Należeli do jakiejś organizacji...? Jej nazwa?

— Monachijska Piątka.

— Działalność?

— Odwet za zabójstwo izraelskich sportowców w czasie olimpiady w Monachium. Zwłaszcza tropienie i zabijanie zamieszanych w tamtą akcję palestyńskich terrorystów. Żadnych powiązań z rządem Izraela.

— Rozumiem. — Diamond zwrócił palce ku panie Swivven. — Dziś zjem kolację tutaj. Coś szybkiego i lekkiego, ale potrzebuję uderzeniowej dawki protein. Proszę wziąć drożdże piwne, witaminy w płynie, żółtka jajek i dwadzieścia deka surowej cielejącej wątróbki. Wymieszać w mikserze.

Panna Swivven kiwnęła głową. Zanosilo się na długą noc.

Diamond obrócił się w fotelu i skierował niewidzące spojrzenie w stronę pomnika Waszyngtona. Przez trawnik,

jak codziennie o tej porze, przechodziła grupka uczniów. Wciąż zapatrzonego w okno, rzucił przez ramię:

— Wydobądź mi dane o Monachijskiej Piątce.

— Czym się kierować, proszę pana?

— To mała organizacja. Niedawno powstała. Zacznijmy od jej historii i członków.

— Jak głęboko mam szukać?

— Sam zdecyduj. Właśnie to robisz najlepiej.

Pierwszy asystent obrócił się na krześle i zaczął przekazywać instrukcje Tłuściochowi. Jego twarz pozostała nieruchoma, ale oczy za okrągłymi szklami błyszczały radością. Tłuścioch zawierał w sobie mieszaninę informacji ze wszystkich komputerów świata Zachodu, a także dane z krajów bloku wschodniego wykradzione przez satelity szpiegowskie. Znajdowały się tam przemieszane ściśle tajne informacje wojskowe i duplikaty rachunków telefonicznych, materiały używane przez CIA do szantażu i licencje francuskich kierowców, nazwiska ukryte za numerami kont w bankach szwajcarskich i spisy adresów z list konsumentów, jakimi posługiwały się agencje reklamowe w Australii. Sprawy najdelikatniejsze i te najgłośniejsze w świecie. Jeśli żyłeś na uprzemysłowionym Zachodzie, Tłuścioch wiedział o tobie wszystko! Znał twoją sytuację kredytową, grupę krwi, przeszłość polityczną, skłonności seksualne, dysponował twoją dokumentacją medyczną, także szkolnych i uniwersyteckich osiągnięć, pobranymi na chybił trafił próbkami twoich prywatnych rozmów telefonicznych, kopiami wszystkich telegramów, jakie kiedykolwiek wysłałeś czy otrzymałeś, listą wszelkich zakupów na kredyt, pełną dokumentacją wojskową czy więzienną, tytułami pism, jakie prenumerujesz, deklaracjami podatkowymi, twoim prawem jazdy, odciskami palców, metryką urodzenia — o ile byłeś zwykłym obywatelem, którym Firma Matka specjalnie się nie interesowała. Jeżeli jednak Firma lub którykolwiek z jej dostawców danych, takich jak CIA, NSA lub ich

odpowiedniki w innych demokratycznych państwach, zwrócili na ciebie szczególną uwagę, wtedy Tłuścioch wiedział o tobie dużo, dużo więcej.

Wprowadzanie faktów do Tłuściocha wymagało niekończącej się pracy całej armii mechaników i techników, wydobycie zaś z niego użytecznej informacji było zadaniem dla artysty, kogoś ze stosownym treningiem, odpowiednim podejściem i — natchnieniem. Problem polegał na tym, że Tłuścioch wiedział za dużo. Jeśli ktoś koncentrował się na żądanym temacie zbyt płytko, mógł nie znaleźć tego, co chciał. Jeśli szukał zbyt głęboko, waliła się na niego nieczytelna masa nieistotnych szczegółów: wyników dawnych analiz moczu, odznak zdobytych w czasach harcerskich, upodobań zdradzanych w liceum, ulubionego rodzaju papieru toaletowego. Pierwszy asystent posiadał niezwykły dar: wymagającą subtelności umiejętność zadawania Tłuściochowi właściwych pytań i poszukiwania odpowiedzi na odpowiednim poziomie nawarstwiania danych. Instynkt połączony z doświadczeniem podsuwał mu właściwe wskazówki, właściwe przekształcenia, właściwe rubryki, właściwy poziom bogactwa szczegółu. Grał na swoim komputerowym instrumencie po mistrzowsku i przepadał za tym. Praca przy nim była dla niego tym, czym seks dla innych — a raczej tym, czym według jego wyobrażeń seks był dla zwykłych ludzi.

Diamond odezwał się przez ramię do panny Swivven:

— Kiedy skończę, będę chciał porozmawiać z tą osobliwością, Starrem, i z Arabem, którego wy nazywacie Hamanem. Proszę trzymać ich w pogotowiu.

Pod palcami pierwszego asystenta konsola rozgrzewała się i mruzczała. Nadchodziły pierwsze odpowiedzi. Trafiały do lokalnego banku pamięci — dialog się rozpoczął. Nie bywało dwóch jednakowych rozmów z Tłuściochem, każda z nich przebiegała inaczej i związane z tym rozkosze zaczynały pobudzać niemały, choć wybitnie jednostronny intelekt pierwszego asystenta.

Uzyskanie pełnego obrazu wymagało dwudziestu minut. Diamond postanowił nie marnować tego czasu. Zdecydował zażyć trochę ćwiczeń i słońca, podreperować organizm i rozjaśnić umysł przed długotrwałym przeciążeniem. Dał znak palcem sekretarce, aby poszła z nim do małej salki gimnastycznej za główną strefą roboczą.

Podczas gdy rozbierał się do krótkich szortów, panna Swivven włożyła czarne okulary ochronne, podała mu podobną parę i włączyła baterie lamp kwarcowych zainstalowanych wzdłuż ścian. Diamond zaczął ćwiczyć siady z leżenia, na ukośnej platformie, z kostkami nóg unieruchomionymi pętlą z krytej pluszem liny, panna Swivven zaś przylgnęła do ściany, próbując chronić swą wrażliwą, jasną skórę od intensywnego ultrafioletowego blasku. Diamond ćwiczył wolno, maksymalnie skoncentrowany. Jak na swój wiek był w doskonałej formie, niemniej brzuch wymagał stałej uwagi.

— Proszę posłuchać — powiedział zduszonym głosem, tłumiąc stęknienie, kiedy się podnosił i dotykał lewym łokciem prawego kolana — będę musiał wprowadzić do tej sprawy kilku speców z CIA. Proszę uprzedzić wszystkich, którzy jeszcze zostali na górze po ostatniej serii czystek w administracji.

Najwyższym rangą urzędnikiem, którego jako kozła ofiarnego podsuwano rozwścieczonej opinii publicznej, był oficer delegat do spraw łączności międzynarodowej. Panna Swivven poinformowała, że jest jeszcze w budynku.

— Nada się do naszych celów. Proszę mu powiedzieć, żeby był w pogotowiu. Aha, i proszę odwołać partię tenisa zaplanowaną na weekend.

Brwi panny Swivven uniosły się powyżej ciemnych okularów. To musi być coś naprawdę poważnego. Diamond zaczął ćwiczenia z hantlami.

— Chcę też mieć w każdej chwili dostęp do Tłusciocha przez resztę popołudnia, a może i dłużej.

— Tak, proszę pana.

— Dobrze. Co pani zapisała w notesie?

— Wzmocniona dawka protein w płynie. Uprzedzić i zatrzymać panów Starra i Hamana. Uprzedzić i zatrzymać oficera. Zażądać nieskrepowanego dostępu do Tłuściocha.

— W porządku. Najpierw jednak proszę przekazać wiadomość prezesowi. — Forsowne ćwiczenia sprawiły, że Diamond ciężko dyszał. — Treść wiadomości: Być może akcja zapobiegawcza na Rome International nie była bezbłędna. Sprawdę, uporządkuję i przedstawię rozwiązania.

Kiedy panna Swivven wróciła siedem minut później, niosła dużą szklanę gęstego, pianistego, siniego płynu. Zabarwienie nadała mu rozdrobniona surowa wątroba. Diamond doszedł już do ostatniej fazy swego rutynowego treningu — ćwiczeń izometrycznych przy stalowym drążku. Przerwał na chwilę i przyjął od niej kolację. Stała przyciśnięta do ściany, trzymając się od lamp najdalej, jak tylko mogła; doskonale wiedziała, że już poddała się naświetlaniu dostatecznie długo, żeby poparzyć delikatną skórę. Chociaż praca dla Firmy Matki miała wiele zalet — nadgodziny, perspektywa dobrej emerytury, opieka medyczna, firmowy kurort w kanadyjskich Górach Skalistych, przyjęcia gwiazdkowe — dla panny Swivven niezwykle przykre były dwa aspekty: takie właśnie oparzenie słoneczne, mniej więcej co tydzień, oraz okazjonalny bezosobowy użytek, jaki dla odprężenia robił z niej Diamond. Mimo wszystko była nastawiona filozoficznie. Nie ma pracy doskonałej.

— Czy wszystko z listy załatwione? — zapytał Diamond, wstrząsając się z lekka po wypiciu odżywczej mikstury.

— Tak, proszę pana.

Ignorując jej obecność, zsunął szorty i przeszedł do oszklonej kabiny z prysznicem. Odkręciwszy na cały regulator orzeźwiająco zimną wodę, zapytał poprzez szum:

— Czy prezes odpowiedział na moją wiadomość?

— Tak, proszę pana.